



Ijen

1. satu

Do Bondowoso wjeżdżamy od północy w strugach deszczu, ale jeszcze przed zmrokiem. Baratha to dobry hotel, ma przestronne lobby, wysokie sufity i strome schody na piętro, taras otacza wewnętrzne patio w kolonialnym stylu, a łóżko jest olbrzymie. Gdyby tylko było dość czasu na sen...

Kiedy zapalam światło, olbrzymi pająk czmycha nagle spod klosza lampy i wciska się w załamanie ściany.

Nie znam się na pająkach, do tej pory myślałem, że największe są prządki, wielkie, ale mało agresywne. Ten jest równie duży, ale wygląda źle. Zbiegam do lobby, żeby poprosić o pomoc, nie jest dobrze biec w klapkach japonkach. Chwila nieuwagi, uderzenie w kamienny stopień i paznokcie dużego palca pęka, ale nie mam czasu się nad tym rozwodzić, bo jeśli pająk schowa się gdzieś teraz, to jak ja to wszystko wytłumaczę.

Dziewczyna z recepcji jest bardzo wyrozumiała i nie robi żadnych min, kiedy pokazuję jej, że jest taki wielki jak dłoń. Dzwoni po kogoś i pojawia się gość ze specjalną pułapką na żyjątko. To rodzaj zielonego pudełka na długim kijku. Pudełko ma zapadkę. Jaszczurka albo pająk wpadają do środka i można je wynieść do dżungli. W drugiej ręce niesie miotłę na długim kijku.

Dżungla dookoła nas szumi złowrogo targana wichurą.

– Za pół godziny huragan dotrze tutaj z całą siłą – mówi chłopak.

– Przecież leje cały dzień.

– To tylko przygrywka, gdzie trzymacie pająka?

Wchodzimy. Pająk siedzi do góry nogami na suficie. Chłopakowi z recepcji rzednie nagle mina.

– O ja pier... – mówi po angielsku, ale nie ucieka. Każe się cofnąć. Najlepiej wyjść, ale jak tu wychodzić, to może być piękna walka. Sięga miotłą w górę, pająk stroszy przednie nogi niczym krab, ale miotła jest bezwzględna. Nagle pająk skacze.

Łup, ląduje na łóżku i zaczyna zapieprzać jak wściekły, ale chłopak zna się na rzeczy, zrzuca go na podłogę i przyciska szorstkim włosiem do ziemi. Pająk podnosi przednie odnóża, ale pułapka jest bezlitosna, zapadka zbliża się powoli, powoli, potem jeden nagły ruch w przód i szkarada jest w środku.

Uff.

Dopiero wtedy słyszymy, że całą posiadłością zaczyna szarpać wiatr. Znam mnóstwo wiatrów, ale do tej pory nie poznałem huraganu. Schodzimy na dół, na tarasie rolety zsunięte do ziemi, przez okno widzimy, jak wiatr przygniata do ziemi czubki palm. Pijemy alkohol. To porządny hotel, mają piwo i nawet coś mocniejszego. W taką pogodę nie mamy najmniejszych szans wejść na krawędź wulkanu i potem zejść do Ijenu. Wiatr narasta, prognozy są złe, a jutro po południu musimy już być na promie na Bali. To moja trzecia próbna dotarcia do Ijenu. Pewnie znowu nieudana. Ale czy warto się martwić?

Jedno co warto – upić się warto.

Ale to niemożliwe w muzułmańskim kraju. Nikt tutaj się nie upija.

2.

dua

Budzik zadzwonił minutę po północy, nie marnotrawiłem czasu, bo spakowałem się już cztery godziny wcześniej. Wyrzałem przez okno. Nic. Ciemność. Ale nie ma huraganu, a deszcz ledwo siąpi. Po nawałnicy, kiedy to we wschodnią Jawę uderzył huragan, nie było śladu i w sercach naszej trójki zaczęła się zagnieżdżać nadzieja, że zobaczymy sławetne Błękitne Płomienie w otchłani kwaśnego jeziora na dnie czynnego wulkanu.

Upchnęliśmy się jakoś w mokrym samochodzie i ruszyliśmy.

Pan kierowca nie oszczędzał toyoty, mimo że była noc – wioski jawajskie nie są oświetlone, a rowerzyści i skuterowcy nie zawsze mają jakiegokolwiek światło. Jeżdżą po ciemku w nadziei, że jakby co, to ocali ich przecież bóg. Cięliśmy serpentyny na styk z murkami, drzewami, zwierzętami, którym w ciemności tylko oczy świeciły. Myślałem: może będziemy widzieć gwiazdy, ale nie, wrócił deszcz i znowu był bezlitosny. Nasz kierowca też. Cisnął jak wściekły, a wulkan nie chciał nas wpuścić. Łamały się drzewa. Palmy leżały na szosie. Kałuże były głębokie na pół koła.

A pan kierowca nic.

Modliłem się, żebyśmy nikogo nie zabili.

Nikogo nie zabiliśmy, ale nie zatrzymaliśmy się do wypadku. Nagle zobaczyliśmy na drodze światła, zwolniliśmy, wycieraczki rozmęłały obraz. Ktoś jadąc na motorze, wpadł na leżące drzewo. Leżał na poboczu. Ktoś już przy nim klęczał. Ludzie biegli na pomoc, świecąc komórkami, a my pocisnęliśmy dalej. Nie mogłem poprosić kierowcy, żeby się zatrzymała, bo nie znałem słów.

Znam tylko jedno słowo w bahasa¹⁸ – *cahaya*. Światło. Światła mieliśmy włączone.

18 Bahasa Indonesia – język z rodziny austronezyjskiej, od 1949 roku ma status urzędowego w Indonezji. Posługuje się nim ok. 200 mln mieszkańców Indonezji (populacja całego kraju liczy blisko 279 mln); dla prawie 43 mln jest to język ojczysty.

Męczyło mnie, że się nie zatrzymaliśmy, całą drogę, aż zasnąłem.

Przed świtem dotarliśmy do zboczy Ijenu. Obudziłem się na parkingu. Było zimno, może ze cztery stopnie. Z samochodu schodziło się wprost do kałuży. Nie było innej drogi. Wszędzie były kałuże. Stały w nich smętne samochody. Niektóre parowały, silniki wciąż były gorące. W tej chwili nie padało, ale dookoła czaiły się mgły. Było ciemno, ale dookoła parkingu świeciły się lampy w kilkunastu knajpach. Stoły pod rusztowaniami powleczonymi plandekami z plastiku. Ludzkie cienie pochylone nad kawą. Wszyscy w kurtkach i w czapkach. Obcy w butach trekkingowych. Miejscowi w kaloszach.

Ktoś przyszedł do nas i zamienił kilka słów z kierowcą.

Okazało się, że to nasz przewodnik.

– Mamy pół godziny – powiedział – kawa, papieros, pobieramy maski przeciwgazowe i ruszamy.

3. tiga

Szliśmy poprzez noc ścieżką błotnistą i stromą. Krople deszczu powolne jak tłuste ślimaki gasły w żółtych liszajach czołówek. W monotonnej stromiźnie wulkanu błoto wydawało się nie mieć końca. Żeby zobaczyć Ijen, trzeba wystartować na wysokości zaledwie 1110 metrów, a potem

podejść wysoko, bo krater przełamuje się dopiero na 2400, po jego stromym zboczu, piekielnie śliskim, bo w deszczu wulkaniczny pył zmienia się w specyficzny gatunek błota. Jakbyś szedł po rozmiękłym mydle. Boli cię wszystko z braku snu, bo to druga niemal bezsenna noc w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, ale ciśniesz, ciśniesz, bo żeby zobaczyć Błękitne Płomienie, trzeba na samo dno wulkanu zejść w ciemności.

Boli serce i bolą płuca. Monotonia tego podejścia jest bezlitosna.

Nie wszyscy idą. Bogaci ludzie mogą wynająć miejscowych tragarzy, a potem usiąść w wózku i pozwolić się wyciągnąć na górę. Do każdego wózka potrzebne są dwie osoby. Jedna ciągnie przy pomocy pasa zakładanego na czoło albo na pierś. Druga popycha. Pasażer siedzi nisko, nawet gdyby wywrócili się na jakimś wykrocie, nie stanie mu się żadna krzywda. Chyba żeby wywrócili się obaj, wówczas wózek mógłby nabrać rozpędu, ale tylko do zakrętu, potem musiałyby utknąć w zaroślach, a kiedy kończą się zarośla – w żuźlu na poboczu ścieżki.

Pasażerowie okryci są pledami i mają na głowach kaptury.

Deszczu jakby mniej.

Idziemy zakosami. W lewo, w prawo, ciemność jest nieprzenikniona, buty już dawno zdążyły przemoknąć. Robi się coraz zimniej. Odkąd nie ma dookoła ani drzew, ani krzewów, wiatr szarpie nami bezlitosny i mokry.

A potem nagle wszystko się zatrzymuje. Pasażerowie wózków wypełzają ze swoich kokonów całkiem odrętwiali. Światełka czołówek nieruchomieją na krawędzi kaldery.

– Zakładamy maski – mówi nasz przewodnik.

4.

empat

Ijen jest o ponad dwieście metrów wyższy niż miejsce, w którym stoimy, to mniej więcej 2400 metrów nad poziomem morza. Teraz trzeba zejść około trzystu metrów w głąb krateru. Każą nam zakładać maski, choć miejscowi ich nie używają, zakrywają po prostu twarz kawałkiem tkaniny, tej samej, którą owijają głowy.

Idziemy po oślizłych, potrzaskanych kamieniach, niezwykle stromą percią, niewiele widać, kiedy masz przed nosem puszkę pochłaniacza. Migoczą światełka tych, co są już na dnie. Podobno jest tam jezioro. Podobno całe niebieskie. Podobno błądzą dookoła niebieskie ognie. Powstają, kiedy eksplodują bąble siarki, które wypływają na powierzchnię jeziora. Ale po deszczach nie wypływają, a wczoraj nad wyspą przeszedł huragan, prawdziwa nawałnica. Pewnie nie mamy szans na błękitne ognie.

Mijają nas idący w górę tragarze.

W Ijenie ludzie od dziesięcioleci wydobywają siarkę. We wnętrzu ziemi jest tak gorąca, że wypływa na powierzchnię jeziora stopiona i dzięki odstojnikom zastyga w czyste, wielkie, złote plastry. Prawie jak miód. Ale we wnętrzu wulkanu nie ma skupu siarki. Trzeba ją wynieść na górę te trzysta pięćdziesiąt metrów różnicy poziomów po zabójczej, śliskiej i stromej perci. Tragarze zarzucają na ramiona kosze na bambusowej żerdzi. W obu koszach mieści się w sumie około 75 kilogramów. Kilogram siarki kosztuje 11 centów. Czytałem w „National Geographic”, że nikt na naszej planecie nie pracuje ciężiej niż górnicy z Ijenu. Nie wiem, czy tak jest. Byłem w kopalniach Potosi i tam też było prawdziwe piekło. Prawdziwsze niż tutaj, niczego nie ujmując tym chłopakom.

Ludzie z Ijenu idą w górę, dysząc ciężko.

Nie noszą masek.

I ja też zrywam swoją, wciągam powietrze głęboko, najlepiej jak umiem. Jest chłodne i dobre, ale tylko w pierwszym momencie, bo zaraz czuję, że dusi mnie jakiś obezwładniający opar, wżera się w gardło, w nos bolesnym uściskiem, jakby coś w środku ciebie postanowiło nagle wypełznąć, rozerwać skórę i pokazać się światu w całej czerni. Ale nie to jest najgorsze, tylko strach. Łapiesz powietrze jak ryba, jakbyś chciał je ugryźć, a ono czerstwe, suche, nie daje się połknąć, mózg wpada w panikę, że już nie będzie więcej oddychania, że zdechniesz tam, w czarnej czeluści, pomiędzy

kamieniami poprzerastanymi żółtym lśnieniem siarki, pośród błękitnych płomieni – nie, to nie płomienie, to strach we łbie wycina ten świetlisty szlak.

Potem jest zawrót głowy i zaczynasz omdlewać, ale to moment, chmura siarkowodoru mija i znowu można oddychać. Ludzie słaniają się na nogach. Ktoś rzyga. Wymiociny w pomarańczowym świetle czołówki wyglądają tak bardzo wegańsko.

5. *lima*

Nie zobaczyliśmy Błękitnych Płomieni, ale zobaczyliśmy wszystko to, co powinno być w kraterze – trujące jezioro, fumarole, wybuchy lawy, opary siarki sięgające trzystu metrów.

Jak na jedną Wigilię to sporo.

Potem wstało słońce i mogliśmy sobie zrobić normalne zdjęcia, już nie w błyskach lampy. I dopiero wówczas widzieliśmy, jak tam jest, a Eko, nasz przewodnik, mógł nas odnaleźć. Jak mu się to udało? Nie wiem. W nocy, oślepieni latarkami, wszyscy wyglądaliśmy tak samo. Kiedy wstał świt, okazało się, że dno krateru jest pełne ludzi – górników, tragarzy, no i nas, ciekawskich, uprzywilejowanych, którzy urodziliśmy się po lepszej stronie świata i nie musimy ani nikogo wwozić wózkami na krater wulkanu, ani wieść krótkiego

i bolesnego życia górnik siarki czy tragarza. Nie żyją długo. Nie skarżą się. Nie pytają, jak to możliwe, że wy, syci, bogaci, znudzeni przybywacie tu, żeby patrzeć na nasze upodlenie. Żeby robić nam zdjęcia na dziwowisko, żeby nabijać zasięgi na waszych tiktokach i instagramach. Nie znają słowa mobbing, nie mają związków zawodowych, mają spółdzielnię. Najlepszych spośród siebie czynią starszymi, starsi pilnują, żeby każdy miał swoje miejsce w kolejce po te ciężkie kosze, żeby każdy niósł tyle samo.

Przypomina mi się wywiad sprzed lat z Dominiką Kulczyk, kiedy wyjaśniała, że bogaci ludzie zarabiają więcej, bo więcej i ciężiej pracują. I ten fejsbukowy viral z napisem, że jeśli zarabiasz tyle, żeby zarobić na utrzymanie i spłatę kredytu, to nie pomnażasz majątku, ale jesteś niewolnikiem za dach nad głową i miskę zupy.

I jeszcze to biblijne „jedni drugim brzemiona noście”.

W imię jakich bogów przyjmujemy taki kształt świata za jedyny możliwy? Jednym miliony za selfie na Instagramie, innym garść dolarów za pracę w sercu wulkanu.

Wciąż jest zimno, ale słońce zaczyna się pojawiać nad krawędzią krateru i w jego wątłym blasku, rozredzonym przez ostatnie chmury frontu, który nam przyniósł wczoraj huragan, pióropusze siarki wydają się świetliste i anielskie.

Trzeba wracać.

6. enam

Po drodze ja też robię zdjęcia tragarzom z Ijenu. Najpierw ukradkiem, a potem podchodzę blisko z niemą prośbą w oczach. Oczy przekrwione od niewyspania, od tej siarki. Ich oczy takie same. Ile trzeba mieć siły do takiej roboty?

Eko, nasz przewodnik, pracował w kraterze jako tragarz. Ojciec przyprowadził go tam, kiedy chłopak miał piętnaście lat. To dość, żeby dźwignąć siedemdziesiąt kilogramów i iść pod górę śliską dróżką po kamieniach obłych i zimnych, żeby zarobić na buty, na czynsz i na chleb.

Pewnego dnia zrozumiał, że tylko edukacja może zmienić życie na lepsze.

Nauczył się języka i teraz prowadzi ludzi jako przewodnik. Zarabia kilkanaście razy więcej. Wszyscy kole-dzy, którzy nie nauczyli się angielskiego i noszą kosze albo targają wózki z turystami, poklepują go po plecach, przekomarzają się, mrugają. Zazdroszczą mu. Oni idą z nosidłami pełnymi siarki, on z dziewczynami z obcych krain.

Warto się uczyć. Będę lubił opowieść Eko i nie zapomnę.

Na gorze, na kraterze, jesteśmy o szóstej.

Teraz zostaje już tylko zejść. Potem śniadanie. Jajka i chleb. Zupa chińska z pudełka plastiku i wrzącej wody.

Baton. Ludzie schną. Adrenalina powoli ich opuszcza. Pokazują sobie zdjęcia. Odwiedzili jedno z najmniej gościnnych miejsc na planecie. Widzieli ludzi pracujących najciężej. Może czegoś się nauczyli? Może będą bardziej szanować to, co mają? A może myślą, że skoro mają, to widać im się należy? Może myślą nawet, że są lepsi.

Potem nasz kierowca zapuszcza silnik toyoty i nastawia nagrzewnicę na maksymalną wydajność. Powietrze nagrzewa się, a kiedy zaczyna być gorące, siadam tak, żeby ten strumień suszył mi spodnie. Jedziemy do portu. Kawał drogi po wulkanicznych ziemiach, które spadają nad samą cieśninę. mustrujemy na prom, płyniemy na Bali, tam na drodze siedzi ze sto małp i wcale nie uciekają. Potem jedziemy przez całą wyspę, do Ubudu, w tych mokrych ciuchach, bo nie ma kiedy zmienić, syfiących siarką jak z piekła.

W internecie czytam, że jakiś gość zmarł, oglądając *Avatara*, dostał zawału z emocji. Najgorsze, że nie poznał zakończenia.